

# WIECZORY RODZANNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Jan Sieski



1002114084

JAN SOBIESKI,

przez SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

W pomroku przeszłości już gasły pomału  
Te wieki poświęceń, te wieki zapału,  
Gdy słynni rycerze dla Boga i wiary,  
Krwiań własną dalekie żyznili obszary.  
Lecz jeden był naród pomiędzy narody,  
Dość krzepki na duchu i w sercu dość młody,  
By własnej nie bacząc nagrody, ni zysku,  
Biegł wyrwać sąsiada z krwawego ucisku;  
Jeden był jeszcze król rycerz na ziemi,  
Co ujął krzyż Pański rękoma dzielnymi,  
I z wiarą krzyżowca, z młodzieńca zapałem,  
Biegł śmiało do walki z rycerstwem wspaniałem.  
A zanim w dalekie podążył król strony,  
Czczył kornym pokłonem niebieskie patrony,  
Co ziemię tę stopą przed wieki deptali,  
I wieńce swych zasług pokładli na szali,  
Ażeby w dniach sądu, ich siłą i cudem  
Przeważyc gniew Pański, ciężący nad ludem;  
I zanim z ryce stwem, jak ojciec wśród dzieci,  
Z zwyciężki chorągwie rozwinął Jan trzeci,  
Wstępuje do grodu, z kąd blaskiem swój chwały,  
Niebieska królowa ogarnia kraj cały.  
— O Maryo! zawoła, niech Twoja opieka,  
Mym wiernym zastępom przyświeca zdaleka;  
Niech siłą cudowną ukrzepi me dłonie,  
Bym godnie miecz dzwignął ku krzyża obronie;  
Niech łaska me serce od pychy uchowa,  
Jam niczém, o Pani! Tyś polska królowa!  
Gdy skiniesz, gdy ducha ożywisz nadzieją,  
Wnet polskie sztandary zwycięzko powieją,  
I pierzchną Turczyna zastępy olbrzymie,  
I chwałą po świecie znów rozbrzmi Twe Imię.

\* \* \*

Wstał z ziemi król rycerz i ujął miecz w dłonie,  
A oko mu żarem tak dziwnym rozplonie,  
Że skoro po wiernych wzrok powiodł sokoli,  
Wraz biegną posłuszni skinieniu i woii.  
I śmiało za góry, za skały, za rzeki,  
Król wierne rycerstwo w świat wiedzie daleki;  
Aż kiedy nad białym już stanął Dunajem,  
Do walki się dawnym sposobi zwycięzajem,  
Modlitwą i pieśnią w kaplicy polowej.  
A ziemię już grzebie królewski koń płowy;  
Wtém trąby znak dały, brzmi Boga-Rodzica,  
Król spina rumaka, miecz w dłonie pochwyca,  
I pomknął w lot strzały: drzy przestrzeń szeroka,  
Gdzie błyszczą na słońcu księżycy proroka.  
Huk, tętent, i wrzawa, wnet działa zagrzmiały,  
Aż słońce się śmiano, i Wiedeń wstrząsł cały.  
Lecz wcześniej, nim zorza wieczorna zagasa,

W około wojenne umilkły już hasła;  
Już Turczyn od grodu ucieka spłoszony,  
A z wieżyc wiedeńskich radośnie brzmiań dzwony,  
I z królem na czele drużyna zebrana,  
Śle modły dziękczynne w przybytku Stefana.  
Niezlomny bohater, pokorny jak dziecko,  
— O Maryo! zawoła — niech słynie po świecie  
Twojego Imienia cześć wieczna i chwała,  
Bo memu ramieniu Tyś mocy dodała;  
Niech Tobie w podziękę brzmiań pieśni godowo:  
Jam prochem, o Pani! Tyś świata królową.

### Dwuwiekowa rocznica.

Wszyscy czytelnicy naszego Pisma ucą się już zapewne dziejów ojczystych i wiedzą, że odsiecz Wiednia dokonana była przez króla Jana III-go w r. 1683, a więc w roku bieżącym przypada dwuwiekowa rocznica tego wielkiego dziejowego wypadku.

Rocznica ta ma być uroczystie obchodzona w Wiedniu, a wówczas i my o tém szczegółowo opowiemy. Tymczasem podajemy wam wizerunek króla Jana i piękny wiersz, na cześć jego napisany.

### GWIAZDKA WĘGIERSKA.

PO WIEŚĆ  
z czasów rycerskich  
przez  
**M. a.**

Na zamku Wartburgskim, zbudowanym na skałach w pobliżu miasta Eisenach, odbywała się roku 1206 wspaniała uroczystość rycerska, gdyż rycerskim był zamek Wartburgski, i wiek owocowy, i najpotężniejszy z książąt niemieckich, panujący z tego zamku na ziemiach rozległym, landgraf turyngski, palatyn raski. Był to tenże sam znakomity książę, o którym tak mówi współczesny poeta: „Skoro tylko który z królów nie odpowiada potrzebom narodu, zaraz książę turyngski odbiera na koronę i rozporządza nią, wedle swego upodobania.”

Roczność na zamku Wartburgskim trwała przez trzy dni, obyczajem owoczesnych panów lubiących się w zabawach. Powodem zaś do niego był wypadek który obchodzono w tym czasie, a mianowicie siódma rocznica urodzin następcy jego, księcia, na którego następcy jego, księcia, bogactwo tytułu turyngskiego.

fa i palatyna saskiego. Nie tylko o zwykły obchód urodzin chodziło tu jednakże; o dotychczasowych rocznicach podobnych nikt, prócz matki i otaczających ją niewiast, nie wiedział nawet. Sam ojciec, landgraf, zdziwił się, gdy księżna Zofia, małżonka jego, stawiając się przed nim dnia pewnego, oznajmiła mu, że syn ich dnia tego a tego rozpocznie siódmy rok życia.

Mały Ludwik dotąd pozostawał jeszcze zupełnie w niewieścich rękach, a rycerski landgraf, przy licznych swych obowiązkach, mógł czasami nawet zapomnieć o jego obecności na zamku. Ale otóż właśnie z siódmym rokiem jego życia musiały się dla małego księcia zmienić te wszystkie warunki odrazu, wedle ściśle zachowywanego obyczaju w wychowaniu rycerskich pacholąt, i przeto, po chwili zdziwienia, rzekł landgraf z radością:

— Chyżo bieży czas! Niechajże chwała będzie Panu Bogu, że dziecko szczęśliwie wstąpił wiek dziecinny przebyło i zaszczyt czyni matce, która je dotąd zdrowo wychowała! A teraz wołać mi marszałka, i ochmistrza, i dowódcę hufców zamkowych, abym im wydał rozkazy ku obchodowi rocznicy; i księdza kapelana mi tu prosić natychmiast, aby rozpisał pisma potrzebne; i gońców mieć gotowych do drogi, aby je po świecie roznieśli. Niech każdy, kto mi życzliwy, przybywa obchodzić ze mną uroczysty dzień, w którym syn mój wstąpi na pierwszy stopień, wiodący do rycerstwa, do sławy i zaszczytów!

Tak rzekł książę i od tej chwili ruch zdwojony napełnił zamek i okolice jego. Na dwa tygodnie przed uroczystością przygotowania skończono, a niezadługo już i liczni goście się zjeżdżać zaczęli. W wigilią rocznicy urodzin spokrewnieni książęta, baronowie, i hrabiowie potężni, i dostojni a dzielni rycerze, zebrali się w wielkiej sali Wartburgskiego zamku.

Sala ta ogromna oświetlona była rzesisto światłem sztucznym, pomimo pory dzienną, gdyż inaczej ciemno byłoby w tej przestrzeni, gdzie kilka okien wązkich acz wysokich umieszczono w nierównych odstępach w murze tak grubym, że zniknęły w nim prawie, i podobne były raczej do wielkich szczelin, niżeli do okien, ku oświetleniu komnaty uczynionych. W dodatku okna te zaopatrzone były w szyby malutkie, mało co większe od dłoni, okrągłego kształtu, a oprawne w ołów, co wszystko razem przyczyniało się jeszcze do zaciemnienia komnaty, zatrzymując światło, i tak skąpo do niej wpadające.

W rzesistym więc sztucznym oświetleniu, w wyższej części sali, zasiadł palatyn Herman, odziany błyszczącą zbroją, od stóp do głowy, w otoczeniu tak

samo zbrojnych rycerzy, krewnych i przyjaciół szlacheckiego rodu. Ściany sali przystrojone w broń, w trofea wojenne, błyszcząły od światła odbijających się w polerowanej stali, jakby nabijane były dyamentami. Takież sam blask bił także od świetnych zbroi rycerzy, zgromadzonych w sali. Zaprawdę wspaniałym był widok tych mężów, w żelazo zakutych, z żelaznym mazurem na tronie, w żelaznym tym gmachu, i można było nazwać to zgromadzenie żelaznym dworem żelaznego króla.

Cztery tylko postacie nie były tu żelazne, a to czterej mali pazikowie, od ośmiu do dwunastu lat mający, wysokich rodów pacholęta, które ćwiczyły się w rycerskim rzemiośle na wielkim dworze potężnego landgrafta Hermana. Bogaty i świetny strój ich lśnił od złota, białych grubych jedwabów i błękitnych aksamitów, na główkach mieli czapki malutkie z piórkami spiętymi perłami lub dyamentami, na rączkach rękawice jedwabne, złotem haftowane, bez palców. Czworo tych szlacheckich pacholąt stało przed tronem książęcym. Wtedy rozwarły się na ścieżaj szeroko główne sali podwoje i piąty pazik maleńki, w srebra, złota, czarne i białe aksamity strojny, wszedł z pochodnią w ręce, wiodąc za sobą liczny orszak niewieści, w sukniach długich z materji grubych jedwabnych i z atlasów, po największej części czerwonej i czarnej barwy, tak gęsto zahaftowanych po wierzchu perłami, złotem i drogiemi kamieniami, że jeszcze większy blask zajaśniał w sali, gdy światła się w tym gronie niewieściami przejrzały. Każda niewiasta miała od włosów do ziemi spadającą długą, cienką i przejrzystą zasłonę, podtrzymaną wieńcem złocistym, na szyi kosztowny naszyjnik z klejnotów i złota. Na czele zaś tych niewiast szła księżna Zofia, landgrafowa, w sukni z czerwonego złotogłowiu, w nadzwyczaj kosztownym dyademie, z pod którego spływał kwef cienki; trzymała za rękę małego Ludwika, synka swego, który był ubrany w czarną suknię ze złotogłowiu, zahaftowaną perłami.

Pazik maleńki z pochodnią, przywiódłszy ten orszak do stóp księcia, pana zamku, stanął, i tak mówił dźwięcznym, donośnym głosikiem, i układnemi słowy, śmiało i wyraźnie, chociaż miał za ledwo lat ośm:

— Ja, Fryderyk von Szaumburg, syn rycerza von Szaumburg, paź szlacheckiej pani Zofii, landgrafowej turyngskiej i palatynowej Saskiej, imieniem szlacheckiej pani mojej przychodzę prosić was, szlacheckie księżne Hermanie, i was szlacheckie rycerze, i was szlacheckie pacholęta, towarzysze moi, o przyjęcie do grona rycerskich pacholąt, na pierwszy stopień przeznaczonych rycerskich zaszczytów, wiodących do największego dobra na

świecie, do sławy, wielce szlachetnie urodzonego Ludwika, kończącego jutro lat wieku swego sześć, syna landgraфа Turyngii, palatyna saskiego!

Te słowa wyrzekłszy, maleńki pazik poseł oddał głęboki ukłon świetnemu zgromadzeniu rycerzy i wyprostowawszy się czekał. Wówczas najmłodszy z czterech pacholąt, u stóp krzesła książęcego stojących, rówieśnik małego posła, a podobno nawet o dwa miesiące młodszy od niego, zątem nie spełna ośmioletni, z wielką układnością, powagą i uprzejmością, sadząc się na te najpierwsze rycerskie przymioty, aby w nich poprzednikowi nie dać się prześcignąć, wyszedł ze swego miejsca, stanął naprzeciw księcia, pana zamku i słowo w słowo, ale mówiąc od siebie samego, i znów mianując się własnymi tytułami, prośbę poprzednią panu swemu powtórzył. Natenczas rzekł landgraf turyngski powoli i dobitnie, głosem dźwięcznym, jak dzwon śpiżowy:

— Ja, ojciec i pan, nie mam nic przeciw prośbie małżonki mojej przezacnej, która wychowawszy zdrowo i bez kalectwa syna mego, wypełniła dobrze obowiązki swoje. Ale, jako rycerz, wzywam każdą niewiastę, czy pacholę tu obecnych, którzy mogliby przypadkiem lepiej znać syna mego, niż ja sam, dobrem licznych moich poddanych zajęty, i zaklinam ich na cześć rycerską, aby powiedzieli mi i odkryli zdanie swoje, czyli syn mój ten pierworodny godzien jest wstąpić na pierwszy stopień zaszczytów rycerskich? czyli nie popełnił kiedykolwiek czynu, któryby w nim nikczemność umysłu, czego Boże broń, przepowiadał, a mianowicie: znęcania się nad słabszym, wykroczenia przeciw prawdzie, lub tchórzliwości! Bo te są trzy główne występki przeciwne rycerstwu, nad których wytępieniem my starzy rycerze pracować jesteśmy obowiązani.

Słowa te księcia palatyna powtórzył pazik jego maleńki z należytą powagą całemu zgromadzeniu. Zątem dwaj najstarsi pazikowie ujęli trąbki maleńkie, u pasa ich zwieszzone, i powtórzyli jeszcze raz słowa książęce, otrąbiwszy je wprzód na wszystkie cztery strony świata. I oto stała się rzecz dziwna: rycerze i niewiasty stali milczący, jak posągi, ale pomiędzy małymi pięcioma pazikami rozpoczęła się osobliwsza scena na migi, tylko bystremu oku jednakoże zrozumiała i widoczna, bo na pozór, rycerskie pacholęta nie odstępowały ani na jotę od rycerskiej swojej powagi. Więc dla bystrego oka widocznie czterej starsi nakazywali coś wzrokiem najmłodszemu, który, stojąc na stanowisku swoim, tak przecież wyglądał, jakby chciał skryć się pod ziemię.

Tymczasem bohater tój uroczystości, maleńki Ludwik, zachowujący się dotąd rycersko i powa-

żnie, jak był powinien, nagle począł drzeć jak listek osikowy, słuchając mowy landgraфа ojca o *wykroczeniu przeciw prawdzie*. Chłopczyna książęcy spuścił głowę i oczy. Nastąła chwila przykrego milczenia, w czasie której wszystkie oczy zwróciły się na rycerskie pacholęta, a wtedy, jakby pod naciskiem tych spojrzeń, najmłodszy z pazików wystąpił przed landgraфа, mówiąc drżącym głosem:

— Ja, Walter von Felsburg, syn rycerza, hrabiego von Felsburg, zmuszony zakłęciem na cześć rycerską, wyznaje, jako Ludwik turyngski, syn Hermana, landgraфа Turyngii, palatyna saskiego, popełnił wykroczenie przeciw prawdzie! złożywszy na mnie własną winę zjedzenia smażonych brzoskwiń... Ale to się wszystko tylko przypadkiem i z załęknienia przed pątem ochmistrem stało! i jam nigdy a nigdy do niego gniewu o to nie miał, bo go bardzo a bardzo kocham!... — Przy ostatnich wyrazach maleńki oskarżyciel, z trudnością dotąd zachowujący powagę, rozpląkał się serdecznie...

Landgraf spojrzął po otaczających go rycerzach, a ci zdawali się porozumiewać ze sobą wejrzaniem, aż jeden z najstarszych wystąpił przed landgraфа, i ostrym a brzmiącym, jak dzwon spiżowy głosem, wyrzekł poważnie te słowa:

— My, rycerze, uznajemy czyn obwinionego za występek karygodny! Ze względu wszakże na tę okoliczność, że obwiniony nie musi być pozbawiony zacności, skoro sobie na miłość przyjaciela Waltera z Felsburga zasłużyć potrafił, możemy zezwolić na przyjęcie obwinionego na pierwszy stopień rycerstwa, pod tym przecież warunkiem, że wykroczenie jego przeciw prawdzie ostatniem będzie w jego życiu!...

— Pierwszým i ostatniem! — wykrzyknął z głośnym płaczem mały książę, padając na kolana przed zgromadzeniem rycerskiem, na czele którego stał jego ojciec.

Landgraf spojrzął znów po otaczających go rycerzach, a gdy ci potwierdzili poważnem skinieniem zdanie towarzysza, landgraf powstawszy rzekł:

— Ponieważ takie jest pobłażliwe zdanie szlachetnych rycerzy, przeto, Ludwiku turyngski, dozwalamy ci wstąpić na pierwszy stopień rycerstwa!

Z tými słowy, rycerz ojciec wyciągnął żelazną prawicę do malutkiego przyszłego rycerza, synka swego i gdy ten tę prawicę uchwycił, wprowadził go ojciec na jednostopniowe podwyższenie, na którym sam się znajdował wraz z rycerstwem. Pięciu paziów otoczyło natychmiast małego księcia i w jednej chwili, zdjąwszy zeń czarną, perłami wyszywaną suknię, przybrali go w świetny i

zgrabny strój pazia, w błękitny aksamit, lśniący biały atlas, w czapeczkę z piórkiem, wszystko tak złotem i drogiemi kamieniami zahaftowane, że maleńki nowy pazik lśnił się cały wszystkimi błyskotliwemi barwami, jak świetna tęcza, bo i oczy jego nawet można było wziąć za turkusy, i włosy w kędziorach za złoto, a lica za mleko i różę.

Tak ubrany, książę-pazik, stojąc na podwyższeniu przed rycerstwem, wystąpił naprzód z pomiędzy swych małych towarzyszy i promieniejący radością, zdejmując sliczną czapeczkę, powitał zgrabnym, wyuczonym ukłonem, owo grono niewieście, które wyhodowało go dotąd i wyhaftowało strój jego bogaty, a w tej chwili wypuszczało go z rąk swoich, w ręce mężów rycerzy oddając. Niewiasty mimowolnym okrzykiem uwielbienia powitały pieśczocho swego, przeistoczonego w pazia, a podobnego do świetnego cacka, któreby warto pod kłosz wstawić i oglądać. A wtém książę turyngski wyrzekł uroczystym głosem:

— Ludwiku turyngski i heski! da Bóg władco! od dziś z rąk niewieścich w mężkie ręce przechodzisz, od dziś mężczyzną się stajesz z dziecka i winien jesteś uczyć się, jak masz opiekować się słabemi dziećmi, takimi, jakim dotąd sam byłeś, niewiastami, które cię wychowały, starcami, zarówno słabymi, jak dziećmi; jak masz bronić wiary twojej i czci! Część nocy dzisiejszej na modlitwie wytrwasz, poświęcając służbę twą Bogu, a od-tąd dalej służyć będziesz szlachetnej pani Zofii, landgrafowej turyngskiej i heskiej, na dworze jej ucząc się najpierwszych obowiązków rycerskich. Idź sam zapytać, czy ona raczy przyjąć służby twoje!

Tłumiony szmer radości w gronie niewieściami przyjął te ostatnie słowa księcia, które były niespodzianką, przez dobrego ojca i męża obmyśloną dla matki i dziecka, bo właściwie mógł on być rycerskim zwyczajem oddać syna na dwór obcy, dla tém większej surowości rycerskiej w wychowaniu, a mianowicie na dwór cesarski Fryderyka Barbarossy, z którym blizkie pokrewieństwo łączyło księcia Hermana. To też mały Ludwik podskoczył na te niespodziane słowa tkliwego, choć surowego ojca, i upadł mu do nóg, dziękując, a potem podszedłszy do matki, przykląkł u stóp jej układnym ruchem pazika, prosząc serdecznie i wzruszonym głosem:

— Szlachetna pani! czy raczysz przyjąć mię za pazia i pozwolić, abym na twym dworze uczył się najpierwszych obowiązków rycerza?

— Chętnie pozwalam — odrzekła księżna Zofia — a to dla tego, że na moim dworze będziesz miał najdoskonalszy wzór zacnego rycerstwa

w księciu Hermanie, władcy Turyngii, i moim i twoim panu, o którego doskonałości nie ja sama, ale kraj cały i ludy dalekie jednakię mają przekonanie!

To mówiąc, wdzięczna i wzruszona głębiej daleko niż to okazać wypadało, matka spojrzeniem wdzięczności pełnem podziękowała księciu za to, że nie odbierał jej pierworodnego synka; a wtém, zdjąwszy z szyi łańcuch kosztowny z krzyżem, rzekł książę Herman, kładąc go na szyję syna:

— Dziś stajesz na drodze, na której masz zostać obrońcą wiary; oto na pamiątkę dnia tego, wkładam na ciebie godło wiary!

Chłopczyną, klęcząc, ze złożonemi rączkami, ze łzami płynącemi z niebieskich oczek, przyjął ten podarek ojcowski; i bardzo być może, iż najpierwsze to w życiu jego ważne zdarzenie wpływ niezatarty wywarło na jego umysł i losem jego pokierowało; bo chłopaczek ten, wyrósłszy, acz nigdy nie kanonizowany, ma przecież w historii miano Ludwika Świętego, nadane mu przez współczesnych, przez lud zwłaszcza. Wówczas, w wigilią siódmej rocznicy swych urodzin, Ludwik powstając z klęczek, rzucił się na szyję Waltera i zawołał:

— Gdybyś ty mię nie kochał, byłbym zginął na zawsze!

Nabożeństwo w kaplicy zamkowej, gdzie wszyscy udali się z sali, a następnie wielka uczta, zakończyły pierwszy dzień uroczystości. W nocy, wedle rozkazu bogobojnego a surowego księcia, mały Ludwik miał sam jeden przetrwać całą godzinę w kaplicy na modlitwie. Jakoż był tam zaprowadzony przez paziów, towarzyszy swoich, którzy następnie odejść musieli, choć maleńki Walter chciałby był zostać z przyjacielem, sądząc, iż próba ta za ciężka była dla niego... I nie tylko Walter, ale nawet i starsi paziowie pocichu nazywali w tym razie księcia Hermana nazbyt wymagającym; uważali, że modlitwa taka bardzo jest właściwa dla dorosłego giermka, jak to było w zwyczaju powszechnym, lecz nie koniecznie potrzebna dla maleńkiego pazia... i przypominali sobie, że z nich żaden nie był na nią narażony w swoim czasie...

Tak pocichutku gawędzili paziowie, siedząc w komnatce swojej razem, przez owę długą godzinę, o czarnej północy, którą mały ich książę musiał samotnie przetrwać w dużej, jak kościół, kaplicy, prawie ciemnej, bo jedną tylko bladą lampą oświetloną u sklepienia... A gdy nareszcie minęła ta godzina, skwapliwie pobiegli malcy po małego towarzysza, pewni, że go już u drzwi spotkają, jeśli nie w korytarzach nawet. To też zlekli się, gdy wchodząc na próg kaplicy, ujrzeli zdaleka

Ludwika klęczącego nieruchomo w głębi przed ołtarzem, tak, jak go tam pozostawili... Gdy nie poruszył się za ich zbliżeniem, strach ich ogarnął... zwłaszcza Walter był już pewien, że Ludwik nie żyje, że zmartwił z przerażenia w samotności wśród północy; dopiero przystąpiwszy blisko przekonano się, iż maleńki książę modli się gorąco a spokojnie i zapomniał o ubiegającym czasie. Zdziwił się, gdy mu powiedziano, iżznaczona godzina już minęła.

Nazajutrz, zeszedłszy ze stromych skał, na których stoi zamek Wartburgski, całe rycerskie gro- no udało się do Eisenach na nabożeństwo, a po- tęp tłumami ludu otoczone, wyszedłszy za miasto, zasiadło w przygotowanych tam wzniesionych dłu- giem półkolem krużgankach i łóżach, aby się przy- patrywać rycerskim walkom, czyli tak zwanym *turniejom*, jakimi uświetniano wszelkie prawie ważniejsze uroczyste obchody. Miejsce na to wy- brane przez księcia Hermana znajdowało się u stóp góry, na której stoi zamek Wartburgski, gó- rę więc tę całą z owiej strony zaległy tłumy ludu, dla którego też umyślnie wybrał dobry książę to miejsce na turnieje. Tuż u stóp góry zagrodzone były szranki, a po przeciwniej ich stronie, naprze- ciw góry, urządzono krużganki dla księstwa wraz z dworem i dla ich dostojnych gości.

Szranki same stanowiła mocna, z ogromnych bali zrobiona zagroda, otaczająca wyrównaną sta- rannie wielką przestrzeń, w kształcie podłużnego cokolwiek koła czyli elipsy. Zagrodę tę całą za- wieszono z wielkim kosztem piękną, zieloną bar- wy tkaniną, z ciężkimi złotem i dołu frendz- lami i przymocowano ją przy samej ziemi. Dla te- go zaś barwa jej była zielona, ażeby jak najmniej odznacząc się od zieleni łąk okolicznych, nie ra- ziła bystrych rumaków. Po obu końcach tak za- kreślonęj elipsy były dwie bramy, wspaniale przy- strojone w broń różnorodną, sztucznie ułożoną, i w gałęzie wawrzynu, jak przystało na rycerską bramę, wiodącą do sławy. Krużganki, ciągnące się wzdłuż całego jednego boku podłużnego koła, nie jednakięj były wysokości wszędzie; w samym środku albowiem był najwyższy i najwspaniałej przybrany w pyszne k obierce, purpurowy aksamit i złote ozdoby, i tam zasiedli księstwo wraz z gośćmi; po obu zaś stronach krużganki zwolna zniżaly się coraz bardziej tak, że w pobliżu bram, u końców elipsy, mało co już wznosiły się ponad zagrodę szranek, lecz były przystrojone także bo- gato, a zajęły je dwory pańskie, wedle stopnia i godności.

(D. c. n.).

## DWAJ GOŚCIE.

DYALOG.

(W głębi pokoju wywyższenie ubrane kwiatami, około którego bawi się kilkoro dzieci. Reszta pokoju oddzielo- na sztachetami lub niskim przepierzeniem, w którym są drzwi lub furtka. Od lewej strony do furtki zbliża się starzec i puka. Dzieci porzucają zabawę, zbliżając się do furtki).

STARZEC.

Puk, puk! otwórzcie! drzę z zimna cały.

NAJSTARSZE Z DZIECI.

Patrzcie, to jakiś starzec zgrzybiały!

STARZEC.

Zgrzybiały bardzo, pełen zasługi

Dni tyle żyję, jako rok długi.

Teraz drzwi szczelnie zamknięte wszędy,

Nikt nie chce przyjąć starego zrędy.

2-e DZIECIĘ.

A kto wy, dziadku, powiedźcie ino?

STARZEC.

Nie pytaj o to, miła dziecino;

Ale mi wrota otwórzcie proszę.

3-e DZIECIĘ.

Nie, nie otworzę. Ot bierzcie grosze,

(*Daje mu przeddrzwi jałmużnę*).

I idźcie z Bogiem, bo my tu gody

Święcim wesołe. Gość rzeźwy, młody,

Przybywa do nas...

STARZEC.

A więc dla dziada

Niema kącika, co bajki gada?

4-o DZIECIĘ.

A niema, niema, właśnie dla tego,

Że tylko bajki, nic prawdziwego.

(*Odwraca się od starca*).

NAJSTARSZE Z DZIECI.

Już nas nie złudzisz, znamy cię, znamy,

I twoich bajek dosyć już mamy,

2-e DZIECIĘ.

Wiemy kto jesteś!

STARZEC.

Jestem rok stary,

Co was chciał bawić i przyniósł dary...

3-e DZIECIĘ.

Aleś nie przyniósł, a obiecywał;

Zamiast pracować, toś wciąż spoczywał,

A wciąż nam prawil same morały.

Idź już, staruszkul!

(Starzec powoli uchodzi, zasłaniając twarz płaszczem; na wywyższenie wchodzi najmłodsza z dzieci, ubrane białe, trzymając gałązkę zieloną. Dzieci wyciągają doń ręce, wołając:).

(*Dzieci razem*).

Przybywaj mały!

STARZEC.

Idzie ten dzieciuch! więc ja odchodzę. .  
Nic ci, dziecińco, nic nie przeszkodzę  
Trzysta sześćdziesiąt pięć dni zabiorę.

DZIECI (*przerywając wszystkie razem*).

A zabierz sobie, zabierz je w porę.

NAJSTARSZE Z DZIECI.

Bo oto właśnie z gwiazdką, co świta,  
Rok Nowy wszystkich z uśmiechem wita.

(Przez ten czas dziecię, przedstawiające Rok Nowy, staje na wywyższeniu).

2-e DZIECIĘ.

On razem z nami dziś się pośmieje  
I dobrej doli da nam nadzieję.

3-e DZIECIĘ.

On nam przyniesie cukierki, ciasta...

STARZEC (*idąc ciągle bardzo powoli na lewo, wskazując na Rok Nowy*).

Niechajże z niego radość urasta,  
Niech wam nauki roztoczy koło,  
Niech wam się troską nie marszczy czoło.  
Niech was kochają bracia, koledzy,  
Niech wam rok nowy przysporzy wiedzy,  
Niech wam przyniesie uciech bez miary,  
Tego, uchodząc, żyćcy rok stary.

(Północ bije, starzec z ostatnimi wyrazy znika, dziecię, ukazująca się zdaleka na wywyższeniu, sypie rozmaite łakocie, dzieci z radością wyciągają ku niej ręce, zasłona spada).

Z. Morawska.

## KRAINA ZŁOTEGO RUNA.

Kolchida słynęła w starożytności z wielkich swoich bogactw, tak, jak za dni naszych Kalifornia. Ale w tych czasach dawnych do każdej rzeczy niezwykłej przywiązywano różne bajeczne podania. Więc opowiadano, że Eetes, król tej krainy, posiadał runo złote, w którym się mieścił skarb niewyczerpany. Dzieje tego runa były także połączone z rozmaitemi bajecznymi wypadkami. Według podania, Atamas, król Tessalii, chciał poświęcić na ofiarę bogom własne swoje dzieci, Fryksosa i Hellę, za namową niegodziwej macochy. Ale Jowisz zlitował się nad niewinnymi ofiarami i zesłał im na ratunek cudownego barana o złotém runie; ten na grzbiecie uniósł Fryksosa i Hellę, a przybywszy na brzeg wązkiej cieśniny, dzielącej Europę od Azji, rzucił się w pław. Hella

przez nieostrożność wpadła w morze w czasie tej przeprawy i od tej pory cieśninę nazwano od jej imienia Hellespontem. Fryksos przybył szczęśliwie na wybrzeża Azji, dostał się do Kolchidy, a przyjęty gościnnie przez króla tej krainy, ofiarował mu runo złote barana Jowiszowego, którego na własne jego żądanie zabił na ofiarę dziękczynną bogom. Runo zawieszono w gaju poświęconym Marsowi i postawiono przy niem na straży straszliwego smoka i byki, ogień z paszczą ziejące.

Sława złotego runa rozeszła się po całym świecie, a bohaterowie greccy, którzy musieli być trochę do rabusiów podobni, postanowili zdobyć ten skarb szacowny. Wiecie zapewne z historii, że Grecya podzielona była na mnóstwo drobnych państw, każde prawie znaczniejsze miasto miało swego osobnego władcę. Otóż w jednym z miast tesalskich, w Jolkos, panował król Pelias, ale panował nieprawnie, gdyż zrzucił z tronu brata swego Ezona. Chcąc także pozbyć się prawego następcy tronu, Pelias namówił synowca swego Jazona, syna Ezona, ażeby się wybrał na zdobycie złotego runa; wiedział bowiem, że każdy, kto się o to pokusił, padał ofiarą potworów, strzegących tego skarbu.

Jazon nie uląkł się jednak tak niebezpiecznego przedsięwzięcia. Pobudował okręt z dębów wyciętych w poświęconym lesie Dodony, który był wielką czcią otaczany przez starożytnych, nadał okrętowi temu nazwę Argo, zgromadził pięćdziesięciu najdzielniejszych bohaterów i śmiało puścił się do Kolchidy. Bohaterowie ci od nazwy okrętu przybrali miano Argonautów. Najślawniejsi pomiędzy nimi, opiewani niejednokrotnie w dawnych poezjach greckich, na równi prawie z bożkami, byli Herkules, Tezeusz, dwaj bracia Kastor i Poluks, śpiewak Orfeusz i lekarz Eskulap.

Pomimo całej odwagi i waleczności, Argonauty nie daliby sobie byli rady ze smokiem i innymi straszylami, które stały na straży przy złotém runie, gdyby nie pomoc córki króla Eetesa, Medei. Księżniczka ta była wielką czarodziejką i wskazała Jowiszowi sposoby pokonania wszystkich przeszkód, gdyż piękny młodzieniec bardzo jej się podobał i nie chciała aby się stał pastwą okropnych potworów. Jazon, idąc za jej wskazówkami, pochwycił za rogi byki, ogniem ziejące, zaprzął je do dyamentowego pługa i zmusił do orania ziemi, poświęconej Marsowi. Ze smokiem także się załatwił, usypiając go czarodziejskim napojem, i zabijając kamieniami zbrojnych ludzi, którzy wyrastali z zębów tego potworu. Uchodząc z Kolchidy, Jazon zabrał na okręt swój Argo, i złote runo, i Medeę, z którą się ożenił. Król

Eetes puścił się w pogoń za skarbem i córką, ale Argonauci zmylili pogoń, i płynęli z powrotem inną drogą, korytem wielkiej rzeki, wpadającej do Oceanu, a po przebyciu różnych nadzwyczajnych przygód, powrócili przez Morze Śródziemne do ojczyzny.

Historycy nowożytni utrzymują, że w każdej prawie takiej powieści bajecznej ukrywają się wypadki prawdziwe. Musieli w rzeczy samej jacyś odważni żeglarze odbywać podobną wyprawę do złotodajnych wybrzeży Azji, mogli też powracać korytem rzeki Dunaju. W dzisiejszej Mingrelii, w zachodniej części Kaukazu, o dwie mile od małego miasteczka, zwanego Senaki, nad rzeką Techur, do dziś pokazują niezmiernie starożytne zwaliska, które według podania, mają być szczątkami stolicy króla Eetesa. Czerkiesi nazywają te zwaliska Nakalakewi, to jest dawne miasto.

Resztki starożytnej stolicy leżą na wzgórku, mającym około 1000 stóp wysokości; pozostały tam jeszcze dwa wielkie mury obwodowe, a pomiędzy nimi ciągnie się droga bita, na dwie wiorsty długości. Wzdłuż murów widać czworoboczne obszerne zagłębienia, jakie i teraz na bazarach miast wschodnich służą dla kupujących. Można ztąd wnosić, że to była ulica targowa. W innych zwaliskach rozpoznać można świątynie i domy. Po samym środku pagórka wznosi się wielka brama, prowadząca zapewne do wnętrza miasta. Brama ta zbudowana jest z olbrzymich ciosowych kamieni. Miasto było obwarowane z jednej strony murami, z drugiej broniły go wysokie skały. W wielu miejscach widać w skałach osadzone żelazne pierścienie, jakich używano w przystaniach dla przytwierdzenia statków. Można by ztąd wnosić, że rzeka Techur była dawniej spławna, albo że morze Czarne sięgało aż tutaj. W skałach wykute jest sztuczne podziemie, zwieszające się ponad rzeką; musiało ono niegdyś służyć za kanał do zaopatrywania miasta w wodę w czasie oblężenia, a może i za drogę ukrytą przed nieprzyjacielem. Góry, panujące ponad zwaliskami, pokryte są lasem i obfitują w zwierzynę; nazywają się Unagina.

Wszędzie w tym kraju znajdują się ślady starożytnych osad greckich. W ziemi wykopują często monety greckie, a podania o Jazonie i Medei, o zdobyciu złotego runa i wyprawie Argonautów, przechowały się dotąd pomiędzy krajowcami. Kolchida i dziś jest złotodajną krainą, rzeki jej toczą piasek złoty. Mieszkańcy wioski Dźwari nad brzegami rzeki Ingur hodują liczne trzody owiec i mają ten zwyczaj, że skórę, gęstym runem pokrytą, zapuszczają w nurty rzeki, a po pewnym przeciągu czasu wyjmują i osuszywszy wytrząsają z niej pyłek złoty, osiadły przy zanurzeniu w wo-

dzie. Runa te, wystawione na słońce, błyszczą złocistym połyskiem. Któż wie, czy nie istniał ten sam zwyczaj i w czasach starożytnych i czy nie to dało początek baśni o złotem runie?

Kraina ta posiada także i inne skarby. Kaukaz obfituje w wody mineralne. W tejsze samej miejscowości, zwanéj obecnie Nakalakewi, nad brzegami Techuru, w jaskini podziemnej tryska ze skały strumień ciepłej wody siarczanéj, skutecznej w wielu chorobach. Okolica jest bardzo malownicza, powietrze czyste i zdrowe. Kiedyś zapewne kraina złotego runa licznie będzie uczęszczana, jako miejsce lecznicze.

## BŁYSKAWICA W LAMPIE.

### Pogadanka naukowa.

— Cóż to za świetny wynalazek! Gdyby kto przed stu laty powiedział, że przemysłni ludzie opanują gromy i błyskawice, i posługiwać się nimi będą a w końcu błyskawice zapalą sobie w lampkach, zamiast oliwy, toby takie przepowiednie uważano za istne szaleństwo. A jednak, patrząc państwo, już i w Warszawie elektryczne lampy probowano i mają je w kilku większych fabrykach zaprowadzić.

Tak mówił p. Ryłski, składając jakiś dziennik, który czytał z wielkiem zajęciem. Usłyszały to dzieci, i Antosia, ciekawska, a przytém pieszcotka tatki, podbiegła zaraz i spytała:

— Czy ojczulek żartuje, czy naprawdę w Warszawie mają się błyskawice palić w lampach? Ciekawa rzecz, jak to oni je tam chwytają będą? Czy tak wprost z nieba? byle tylko bez piorunów.

— Jaka ty dziecinna jesteś, moja Antosiu — rzekł starszy braciszek, Leonek, uczeń czwartej klasy — żeby sobie takie rzeczy wyobrażać.

— Ja sobie nic a nic nie wyobrażam, — odrzekła Antosia, wzruszając ramionami — ale ojciec przecież sam powiedział...

— Ojciec żartuje.

— Wcale nie, mój synu; czyż tam w szkołach nie uczyli was jeszcze o elektryczności? czyż nie wiesz, że błyskawice są elektrycznym światłem?

— Zapewne — mówił Leonek zakłopotany — ja tylko chciałem powiedzieć, że to przecież nie te same błyskawice zamykają w lampach elektrycznych.

— Masz zupełną słuszość — rzekł ojciec — a nawet co prawda nie wielkiby był pożytek z takiej błyskawicy, która nagłym blaskiem strzeli i równie nagle gaśnie. Do lampy innego światła



potrzeba. Niemniej jednakże, i błyskawica, i światło lampy elektrycznej, jeden ma początek.

— Chciałabym bardzo wiedzieć, jaki to błyskawica ma początek? — rzekła Antosia.

— Jest to zjawisko elektryczne — mówił Leonek z wielką powagą.

— A co to znaczy elektryczne? — pytała dziewczynka.

Leonek udał, że nie słyszy, ale spozierał nieznacznie na ojca, wyglądając zapewne od niego odpo-

— Ej, tatku kochany, teraz to już żarty, na prawdę. Ja jestem pewna, że niema takiej rzeczy na świecie, którejby tatko nie umiał.

— No, no, niechciałbym wstydu robić mojej córeczce, tym razem jednak możemy się oboje pocieszyć tą myślą, że jeśli my nie wiemy, co to jest elektryczność, to i nikt inny tego nie wie, choćby był najuczestszy i najrozumniejszy. Jest to siła, którą ludzie się posługują i doskonale nią kierować umieją, ale nikt nie potrafi powiedzieć, co to



Kraina złotego runa (str. 7).

wiedzi na pytanie Antosi. Ale ojciec rzekł spokojnie:

— Czemuż nie odpowiesz siostrze, Leonku?

— Bo... proszę ojca... u nas jeszcze o tém nie uczyli.

— To i dobrze — rzekła Antosia — ja wolę, żeby mi ojczulek sam powiedział, co to jest takiego ta elektryczność, to lepiej zrozumieć.

— A toż kłopot prawdziwy — mówił ojciec uśmiechając się — bo na nieszczęście i mnie jeszcze tego nie nauczyli, co to jest elektryczność.

tego. Siła ta znajduje się wszędzie, na każdym kroku, trzeba ją tylko umieć rozbudzić. Wówczas zdaje się, jakby jakiś strumień niesłychanie chyży, jak błyskawica, zaczynał płynąć, a płynie on zwykle po drucikach, bo tym sposobem najłatwiej schwycić się daje i przeprowadzić w najdalsze strony świata.

— Ach, wiem już, wiem, telegraf! — wołała Antosia.

— Jak zaczniesz ojca nudzić i rozpytywać o telegrafy, to się nic nie dowiemy o lampach ele-

trycznych — mówił Leonek, który także przysłuchiwał się z zajęciem.

— Zapewne — rzekł ojciec — témbardziej, że już nieraz o elektryczności i telegrafach opowiadano w Wieczorach Rodzinnych, i moglibyście to sobie odczytać. Teraz posta ram się dać wam niejako wyobrażenie o świetle elektryczném. Wyobraźcie sobie drut, czy krótki, czy bardzo długi, nie stanowi to żadnej różnicy. Część jego nawinięta jest na szpulkę taką, na jaką to zwykle nici się zwijają, ale drucik ten powinien być starannie jedwabiem okręcony, bo elektryczność nie może się wydostać przez jedwab i schwyta jest tym sposobem, jakby w pułpkę, musi biedz wzdłuż drucika. Taka szpulka z druciku nazywa się cewką. Otóż taki drucik, choćby najdłuższy, ma zawsze dwa tylko końce, od szpulki przeprowadzone tam, gdzie potrzeba zapalić światło elektryczne. A teraz w cewce wzbudza się strumień elektryczny. Są na to różne sposoby, najprostsz jest następujący: magnes, to jest żelazo, mające własność przyciągania mniejszych kawałków żelaza, przybliża się do zwoju drucików i odsuwa kolejno raz po raz. Robi się to za pomocą machin. Ażeby silny strumień wywołać, potrzeba mieć liczne cewki i liczne magnesy. Strumień elektryczny bieży z niepojętą szybkością i jeśli oba końce drutu zetkną się ze sobą, obiega nieustannie w kółko, a na zewnątrz nie widać tego wcale. Gdy zaś końce znacznie są oddalone od siebie, strumień przestaje płynąć, jakgdyby się na końcach zatrzymywał. Ale gdy końce, nie zupełnie zetknięte, są jednak zbliżone do siebie, dzieje się rzecz bardzo dziwna. Wygląda to zupełnie, jakgdyby strumień elektryczny wysiłał się nadzwyczajnie, aby przebyć ten odstęp, rozdzielający druty, a z tego wysilenia wywiązuje się ogień. Przy obu końcach drutów utkwione są zwykłe grube laski grafitu, węgla twardego, używanego na ołówki. Od jednej grafitowej laski do drugiej przeskakuje smuga olśniewającego światła, tworząc kształt łuku. Można także końce drutu zupełnie połączyć małą blaszką grafitową, albo drucikiem platynowym. Wówczas strumień elektryczny nie potrzebuje już przeskakiwać, zawsze jednak musi tę przeszkodę przebyć z wielkiém wysileniem i rozpala węgiel lub drucik tak gwałtownie, że powstaje ztąd także blask wielki. Dwojakie więc jest światło elektryczne: łukowe, gdy w odstępie próżnym, pomiędzy końcami drutów powstaje ów świetny łuk, i światło przez rozżarzenie, gdy przegródka z węgla rozpala się do białości.

— To bardzo dziwne — rzekła Antosia — że ta jakaś elektryczność, ten strumień osobliwszy, zapala węgiel tak zupełnie, jak zapalka.

— Już to musi ona te węgle inaczej jakoś zapalać — odezwał się Leonek, pokręcając głową — bo pocóżby znów taki sobie kłopot robili z temi szpulkami, i magnesami, i machinami; toż łatwiej byłoby daleko przytknąć prawdziwą zapalkę do węgla.

— Masz słuszność — rzekł ojciec — światło elektryczne nie jest wcale podobne do zwyczajnego ognia, chociaż ma blask świetniejszy. Wszak wiecie, że ani ogień na kominie, ani lampa, ani świeca, nie może się palić bez powietrza. Przymem każde palenie tego rodzaju sprawia dym, a często sąwad i czad. Każdy taki zwyczajny ogień powstaje wtedy, gdy w skutek silnego gorąca węgiel łączy się z tlenem, gazem, znajdującym się w powietrzu, i także się w gaz zamienia tym sposobem. Otóż to właśnie te gazy, wywiązujące się z palenia, psują powietrze, sprawiają sąwad i czad. Tymczasem światło elektryczne płonie równie jasno bez powietrza w bani szklanéj zupełnie zamkniętej, płonie także i w wodzie, nie wywiązuje żadnych gazów, ma tę dziwną własność, że świeci nadzwyczaj jasno, a wcale nie rozgrzewa powietrza dokoła. Węgiel nie wypala się wcale w tym płomieniu, tylko się zwolna rozkrusza od gorąca; bo tam w samym płomieniu żar jest straszny, mógłby stopić metale, tylko dokoła się ciepło nie rozchodzi. Wiecie, jak to zwykle bywa gorąco w salach, gdzie się pali dużo gazowych płomieni, w teatrze na przykład. Gdyby tam się paliły lampy elektryczne, w zamkniętych baniach, nie obawiano się ani sąwadu, ani zbytniego gorąca, ani pożaru.

— Teraz już nic a nic nie rozumiem — mówiła Antosia — jeżeli tam niema ognia w tém elektryczném świetle, jeżeli się tam nic nie pali, i woda nawet nie gasi tego płomienia, a więc cóż tam jest takiego, co tak pięknie świeci?

— Ba, gdybym ja to wiedział! — rzekł ojciec z uśmiechem — ale na nieszczęście, nietylko ja, ale nikt odgadnąć tego dotąd nie umiał. Posługują się ludzie elektrycznością, ale nie wiedzą, czém się posługują.

— Jaby jednak bardzo chciała zobaczyć taką lampę elektryczną — rzekła Antosia — czy ojciec nie mógłby choć jednéj sobie kupić?

— Jeszcze teraz o tém myśleć nie można — odrzekł ojciec — trzebaby wprzód umieścić gdzieś wielką maszynę, wytwarzającą elektryczność, przeprowadzić druciki, i po tych drucikach rozsyłać na wszystkie strony strumienie. Nie opłaciłoby się urządzać to wszystko na jednę lampkę. Mogę ci jednak dać niejako wyobrażenie, jak to światło wygląda. Najwspanialsze jest łukowe, ma blask olśniewający zupełnie biały, a nawet troszkę błękitnawy, a więc do żółtego światła zwykłych lamp

wcale niepodobny. Ale lampa łukowa byłaby zanadto rażąca do pokoju. Daleko stosowniejsze są małe lampki wynalazku Amerykanina Edisona, w których świeci węgiel przez rozżarzenie do białości. Są to banieczki szklane, w kształcie gruszek, szczelnie zamknięte; we środku płonie bardzo jasno, lecz nie olśniewającym i żółtawym trochę światłem, niewielka blaszka nadzwyczaj twardego węgla. Jest nadzieja, że lampy tego rodzaju niezadługo zastąpią gazowe i naftowe. W kilku większych miastach w Ameryce już takie oświetlenie jest zaprowadzone.

M. J. Z.

## Przygody młodych podróżników

NAKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Hołd nasz zawiera się przedewszystkiem w tej butelce — rzekłem, wyjmując butelczynę z kieszeni.

— Aha! — mówił król, smakując — czy to jest ten boski napój, co tak mile rozgrzewa wnętrzności?

— Ten sam, wielki monarcho.

Tonny-Bi musiał się dobrze znać z boskim napojem, bo uśmiech rozjaśnił królewskie jego oblicze i obie ręce wyciągnął po butelkę.

— Zaraz, zaraz — mówiłem, cofając się o krok — niech tylko wprzód wasza królewska Mość raczy mię uspokoić co do tego jegomości — tu wskazałem wodza drągala — bo on nam zagroził, że nas pozabija, jeśli mu nie oddamy i butelek i wszystkiego, co posiadamy, do rąk własnych.

— Tak, tak — potakiwał Marek — chciał wszystko zagarnąć dla siebie, a my przecież przywieźliśmy to dla samego króla.

— Jak śmiałeś! — wrzasnął król, zwracając się do drągala z najwyższem oburzeniem. — Ja ci tu dam, łotrze!

Drągal chciał się tłumaczyć, ale rozgniewany monarcha nie dał mu przyjść do słowa.

— Ty hultaju, ty błaznie! — krzyczał raz po raz — jak mogłeś traktować w podobny sposób tych dostojnych cudzoziemców? ja cię nauczę!

Uczułem lekki wyrzut sumienia, bo muszę wyznać, że troszeczkę się rozminąłem z prawdą Markowi dałem zły przykład, ale tu szło o naszą skórę, a drągal rzeczywiście śmiercią nam groził. Teraz spokorniał bardzo i ukrył się w najciemniejszym kątku izdebki. Ja zaś przystąpiłem do króla i podałem mu butelkę; on ją zaraz odkorkował

z wielką wprawą za pomocą kościanego korkociągu, który miał przy sobie.

— Wyborne! wysmienite! — wołał, wychyliwszy parę haustów wprost z butelki — pod słońcem niema nic doskonalszego, jak ten boski napój.

— Jesteśmy uratowani — szepnął mi do ucha Marek, uszczęśliwiony z takiego obrotu sprawy.

— Zawołajcie tu królowej! — rzekł Tonny-Bi, do jednego z przybocznych swoich dworzan — chcę, żeby pokosztowała także tego specyału.

Po chwili weszła najjaśniejsza pani, osoba wiekowa, ubrana wedle narodowego zwyczaju w jaszkrawe malowidła i kusy strój z jakiejś skóry zwierzęcej.

— Pokosztuj — rzekł król, przytykając butelkę do ust swęj dostojnej małżonki.

Królowa napiła się i aż podskoczyła z radości.

— Zawołajcie młodych książąt — powiedział król rozochocony.

Weszli dwaj młodzieńcy, jeden z nich musiał być następcą tronu, bo miał na głowie kity podobną do ojcowskiej, drugi, młodszy, ustrojony był w strusie pióra. Obaj pokosztowali napoju i objawili wysokie zadowolenie swoje okrzykami radości. Ja wówczas znowu wystąpiłem z przemową, oznajmiłem, że mam jeszcze kilka butelek podobnego nektaru, które ofiaruję królowi, prosząc w zamian, aby nam pozwolił wejść w stosunki handlowe ze swoimi poddanymi. Tonny-Bi zgodził się na wszystko, a ja za to ofiarowałem różne podarunki całej dostojnej rodzinie. Królowa dostała zwierciadełko, a każdy z książąt po pistolecie. Cały dwór był zachwycony, oprócz drągala, który ciągle spoglądał na nas z podełba, ale myśmy na to wcale nie zważali.

Zabawiliśmy dwa dni na tej wyspie i handel poszedł nam doskonale. Krajowcy mieli mnóstwo proszku złotego, pięknych piór strusich, gумы, kości słoniowej, oddawali nam wszystkie te skarby za lichą broń, za konfitury i błyskotki. Sprzedaliśmy wszystkie nasze towary na wagę złota, nie potrzebaliśmy już dalej płynąć, powróciliśmy więc do Makao, wioząc cały majątek na małym naszym statku.

Teraz nic nie brakuje do naszego szczęścia, tylko z wami się połączyć, drogie dzieci. Jak przybędziecie do nas, musimy koniecznie zwiedzić razem państwo Środkowe, jak Chińczycy nazywają swój kraj, bo tak są zarozumiali, iż uważają go za środek świata. My tu jeszcze w Makao nie mamy wyobrażenia o prawdziwych Chinach, trzeba będzie koniecznie dostać się do Pekinu.

Bywajcie zdrowi, moi najdrożsi, a raczciej do widzenia. Klaniajcie się pięknie odemnie temu zacnemu Anglikowi, który was ugascza u siebie,

a sami przyjmijcie serdeczne uściski starego przyjaciela.

Jakób,

dawny majtek „Pogromu“, obecnie współwłaściciel domu handlowego w Makao pod firmą: Jakób i Marek.

## IX.

Wyjazd na łowy. — Pałac i dwór indyjskiego władcy. — Stary nauczyciel. — Podwieczorek. — Dworzania radży. — Polowanie. — Słonie w kukurydzy. — Uwieszenie słoni. — Słoniątko. — Złośliwy słon. — Przygoda radży. — Pierścień Kadura. — Kara zasłużona. — Skarb odzyskany. — List Roberta do Jakóba i Marka. — Nowa podróż. — Przewodnik. — Groby indyjskie w lesie. — Świątynia. — Straszne stowarzyszenie Tugów, czyli dusicieli. — Burza. — Pałac makowcu. — Afrykanin. — Własności pierścienia. — Nowe spotkanie z Kadurem. — Ucieczka Tugów. — Rozstanie.

Dwaj nasi młodzieńcy spali jeszcze w najlepszym, gdy przebudził ich głos donośny, wołający w dziedzińcu:

— Janie, Józefie! zaprzęgajcie konie do wozów! Diku, przygotuj broń! Danielu, pamiętaj, żeby nam nie zabrakło prochu! Marcinie, zabieraj zapasy żywności! Śpieszcie się, za pół godziny wyruszamy, nie chcę, żeby mój przyjaciel radża czekał na nas.

Młodzieńcy ten głos poznali, był to sir James Primrose, wydający rozkazy służbie. Czynny Anglik pamiętał sam o każdej rzeczy i od świtu przebiegał dom cały, i wszystko rozporządzał.

— Henryku, śpieszmy! — zawołał Robert — nie ma chwili do stracenia. Jedziemy na łowy.

Dwaj młodzieńcy zerwali się z łóżek i ubrali bardzo prędko. W dziesięć minut byli już gotowi i wybiegli na dziedziniec. Sir James przechadzał się w stroju myśliwskim, służba uwijała się, jak pszczoły w ulu, przygotowania były na ukończeniu.

Nigdzie może oko pańskie nie jest tak potrzebne w gospodarstwie, jak w Indyach, gdzie klimat usposabia do lenistwa. Liczna służba angielskiego magnata składała się w części z Anglików, a w części z krajowców. Teraz na polowanie zabierał z sobą kilkudziesięciu ludzi, a nie mała to rzecz była utrzymać w porządku taką gromadkę i każdemu stosowne zajęcie wyznaczyć. Sir James Primrose wybornie wszystko obmyślił. Dwa wozy wiozły zapasy broni, prochu, żywności, nie brakło tam nawet małej apteczki i chirurgicznych narzędzi. Sześć dzielnych koni wierzchowych parskało w rękach masztalerzy. Na trzech najpiękniejszych mieli jechać nasi młodzieńcy i gospodarz, na trzech innych przybocznik jego dworzanie, a pomiędzy nimi był wierny Kanadyjczyk, Wai-ta-hu,

który już zupełnie przyszedł do zdrowia. Reszta orszaku, złożona z Indyan, miała jechać z tyłu obok wozów.

Sir James zatrąbił w róg myśliwski i wyruszył na czele orszaku, Wai-ta-hu jechał tuż przy boku swojego pana, Robert i Henryk trzymali się razem. Okazały to był pochód; młodzieńcy nasi nacieszyć się nie mogli świeżością poranku, pięknnością widoków, które się rozciągały przed ich oczyma. We dwie godziny ukazał się zdaleka piękny pałac pobudowany w stylu indyjskim, o licznych kopułkach zaokrąglonych, z ozdobnymi werandami i balkonami. Dokoła pałacu wznosiły się pomniejsze budynki, równie piękne i ozdobne.

— Oto jest wiejska rezydencja mego przyjaciela, radży Monopuru! — zawołał sir James Primrose.

Ziemia indyjska, zajęta przez Anglików, podzielona jest na liczne drobne państewka, dawniej niezależne, dziś zagarnięte pod władzę zaborców; dawniejsi władcy, noszący tytuł radżów, w większej części jednak mają jeszcze pozorną władzę i mieszkają w bogatych swoich rezydencyach, chociaż we wszystkiemu ulegać muszą gubernatorom angielskim.

Gdy orszak myśliwski zbliżał się do pałacu, ujrano kilku jeźdźców na rącznych koniach, wysłanych przez radżę na powitanie Anglika. Na progu stał sam radża, a przy nim straż honorowa, z kilkunastu zbrojnych ludzi złożona.

— Witaj mi, dostojny przyjacielu — rzekł Radża. — Dom ten i wszystko, co się w nim zawiera, uważaj za swoją własność, póki jesteś gościem moim.

Sir James przedstawił młodych swych przyjaciół, a radża przyjął ich z tą samą uprzejmością. Cały orszak Anglika, z wozami i ludźmi, ustawił się w porządku na dziedzińcu pałacowym.

— Słonie, na które polować mamy — mówił radża — są dosyć daleko stąd, aż za wzgórzami Dirapujana, w dolinie, zarosłej drzewami. Jest to zwykle ich pastwisko. Ledwo o zachodzie słońca się tam dostaniemy, a będzie to właśnie w samą porę, bo będziemy je chwytać w nocy przy świetle księżyca, gdy się do snu ułożą. Musimy się więc najpierw posilić na drogę, zaraz podadzą śniadanie.

Radża był to człowiek młody, mógł mieć około dwudziestu pięciu lat; wysoki, bardzo przystojny, cerę miał ciemniejszą od Europejczyków, oczy czarne, błyszczące, pełne wyrazu, w całym ułożeniu jego widać było, że często obcował z ludźmi wykształconymi i chciał być do nich podobnym. Miał on upodobania właściwe mieszkańcom Wschodu, lubił niezmiernie przepych, piękne konie, pię-

kną broń, strój kosztowny. Na głowie nosił zawój z najcudniejszej tkaniny wełnianej, nakształt tych szalów kaszmirowych, które na wagę złota sprzedają się w Europie; zawój ten spięty był spinką brylantową ogromnej wartości. Cały jego ubiór równie był kosztowny i wspaniały; pas purpurowy jedwabny podtrzymywał z jednej strony kindżał ze stali damasceńskiej ze srebrną rękojeścią, cudnie rzeźbioną, z drugiej dwa pistolety angielskie. Pałac jego urządzony był nadzwyczaj wykwintnie, liczny dwór go otaczał, a i służba przybrana była bogato i okazała. Wszyscy ci monarchowie indyjscy prześcigają się w zbytkach wszelkiego rodzaju. Anglicy dopomagają im do tego; wolą, ażeby się bawili strojem własnym i swoich dworzan, aniżeli uzbrajaniem wojska. Pograżeni w rozkoszach i przepychu, stają się niezdolni do czynnego życia i nie myślą wcale o odzyskaniu swęj niepodległości, o co właśnie najwięcej chodzi Anglikom. Młody radża w swym pięknym pałacu zajęty był tylko urządzaniem zabaw, świetnych łowów, wyprawiał uczty, nigdy mu nawet do głowy nie przyszło, że człowiek ma jeszcze inne obowiązki na świecie. Oprócz licznych dworzan, strzelców, i służby wszelkiego rodzaju, trzymał on jeszcze nadwornych muzykantów i sztukmistrzów; jeden tylko z mieszkańców pałacu radży dziwnie się wyróżniał wśród tęg wesołej i świetnej drużyny. Był to człowiek sędziwy, dawny nauczyciel radży, bardzo pobożny, prowadzący życie niezmiernie skromne i umiarkowane. Nie podzielał on zabaw książęcych, nie używał zbytku, który otaczał wszystkich w tęg wspaniałej rezydencji, a jednak nie odstępował radży i zawsze obecnym był przy ucztach, chociaż sam posilał się roślinnymi tylko pokarmami i czystą wodą ze źródła. Często też pozwalał sobie mówić słowa prawdy dawnemu swemu uczniowi i jego gościom. Raz pewien wesoły przyjaciel zapytał radży, poco trzyma tego starego puszczyka, który powinienby się wynieść do jakieg pustelni, zamiast psuć zabawę księciu i jego towarzystwu.

— To prawda — odpowiedział radża — stary ten rzęda czasem mi dokucza; a jednak nie chciałbym się z nim rozstawać, bo wiem, że on jeden nigdy mnie nie oszukuje i nie pochlebia mi z pewnością. Gdy potrzebuję szczerę radę, w nim jednym mogę położyć zaufanie, na nim się nie zawiodę. Gdyby nawet sam chciał mnie opuścić, nie puszcę go od siebie.

Nasi podróżnicy nie wchodzili do pałacu radży, nie było na to czasu, śniadanie podano na świeżem powietrzu, pod wspaniałym namiotem z jedwabnej chińskiej tkaniny. Potrawy przyrządzone były i podawane na sposób europejski. Służba

uwijała się żwawo około stołu, a człowiek jakiś w paradnym stroju wydawał rozkazy i na wszystko miał oko. Robert spojrział na niego i zdało mu się, że go już kiedyś dawniej widział, nie mógł sobie jednak przypomnieć gdzie. Człowiek ten także spoglądał na niego, ale nieznacznie i odwracał się zaraz, jak tylko wzrok jego spotkał.

— Czy nie wiesz pan, co to za jeden? — zapytał Robert z cicha sir James'a, obok którego siedział.

— Jest to szafarz pałacowy — odrzekł Anglik.

— Czy człowiek ten jest tutejszym krajowcem?

— Przyznam ci się, że nie wiem; ale cóż cię to obchodzić może, mój drogi?

Robert nic nie odpowiedział, a w tęg chwili dworzanin radży, który stał za jego krzesłem, usłyszał tęg rozmowę i odezwał się po angielsku:

— Chcesz pan wiedzieć, czy ten człowiek jest tutejszym? Czyż nie poznajesz pan z jego fizjonomii, że to cudzoziemiec? Nie potrafię jednak objaśnić, z kąd pochodzi, bo żaden z nas o tęg nie wie. Przybył niezbyt dawno do pałacu, był bardzo ubogo odziany, uskarżał się na jakieś wielkie nieszczęścia, które go do nędzy doprowadziły i prosił o jakiegokolwiek zajęcie. Radża kazał go używać do obsługi pałacu, ale to taki zręczny i chytry hultaj, że wkręcił się w łaski pana, przez różne kłamstwa i intrygi skłonił go do wypędzenia dawnego szafarza i sam jego miejsce otrzymał. My go tu wszyscy nienawidzimy.

Człowiek ten mówił to półgłosem, podczas gdy radża zajęty był ożywioną rozmową z sir Jamesem i Henrykiem. Robert zamyślił się nad tęg, co usłyszał i pilnie jeszcze przyglądał się owemu szafarzowi, który taką nienawiść wzbudził w towarzyszach. Zwrócił się nakoniec do Henryka.

— Proszę cię, mój drogi — szepnął mu do ucha — czy ten człowiek, co tam stoi za krzesłem radży, nie ci nie przypomina?

— Cóżby mi miał przypominać, kiedy go pierwszy raz w życiu widzę... ale poczekaj, doprawdy, czyżby to był...

Nie dokończył jednak, bo radża wstał w tęg chwili od stołu i wszyscy poszli za jego przykładem, ruch powstał na dziedzińcu, wsiadano na koń i gotowano się do drogi. Sędziwy nauczyciel podniósł się także, chociaż on nie miał należeć do tęg wycieczki; zbliżył się do radży i rzekł z naciśkiem:

— Mięj się na ostrożności. Znadto łatwo obdarzasz ludzi swoim zaufaniem. Obyś nie był zdradzony.

— Co on chce przez to powiedzieć? — rzekł radża, gdy starzec, wymówiwszy te słowa, szybko odszedł w głąb pałacu — ręczę, że już coś upa-

trzymał do tego biednego szafarza, który ma wielu nieprzyjaciół.

— Uczciwy człowiek nie powinien mieć nieprzyjaciół — powiedział sir James Primrose — ale cóż tam zważać na to, co ten stary puszczyk plecie.

— Ja jednak zawsze zważam na słowa mego nauczyciela — rzekł radza — muszę go się zapytać, gdy powrócimy, co ta przestroga miała znaczyć. Ale teraz nie traćmy czasu, dalej w drogę!

Ozwała się wesoła pobudka myśliwska i orszak wyruszył z dziedzińca pałacowego. Była to prawdziwa podróż, parę razy wypoczywano po drodze, rozkładano namiot i posilano się wybornymi przysmakami; nad wieczorem dopięro gromadka myśliwych, po przebyciu wzgórz Dirapujana, stanęła w dolinie, gdzie dostrzegacze radży widzieli dnia poprzedniego pasące się słonie. Miejscowość ta odpowiadała ze wszystkich względów znanym upodobaniom tych zwierząt. Najpierw były tam w pobliżu łąny, zasiane kukurydzą, a jest to ulubiony przysmak słoni. Potem kilka wąwozów ciągnęło się w różne strony pomiędzy wzgórzami i miały tam gotowe schronienie w razie napadu; nakoniec w dolinie był las, a słonie zwykle pomiędzy drzewami czują się bezpieczniejsze.

Radza kazał rozłożyć obóz w pięknym gaju palmowym, gdzie myśliwi mieli czekać do nocy. Słońce zaszło i szybko się ściemniło, lecz wspaniały księżyc w pełni wypłynął na widnokrąg i łagodnym światłem oblał krajobraz dokoła. Noc na wschodzie ma urok nieznanym w naszym północnym klimacie.

Wśród ciszy usłyszano wkrótce ociężałe stąpanie słoni, ujrzano olbrzymie postacie, zbliżające się powoli; zwierzęta postępowały ostrożnie, jedno za drugim, myśliwi nasi naliczyli ich sześć, a była pomiędzy nimi samica z małym słońciątkiem. Przy świetle księżycy widać było wszystko, jak w dzień biały, młodzieńcy nasi napatrzeć się nie mogli na słonie; szczególnie malec tak zabawnie wyglądał, jakby miniaturka matki, a tak niezgrabnie uwijał się koło niej, że prawdziwą z niego mieli uciechę. Cała gromadka słoni zapuściła się w łąn kukurydzy i zaczęła sobie ucztę wyprawiać. Widok to był śmieszny i smutny zarazem; olbrzymie zwierzęta tratowały wszystko po drodze, wyrwały całe krzaki trąbami, rzucały je, pokoszowały za ledwie i dalej broiły niemilosiernie.

— Nie przeszkadzajmy im — rzekł radza — niech się napasą, potem zasną smaczniej.

W rzeczy samej słonie wkrótce się nasyciły, wyszły z kukurydzy i ułożyły się do snu rzędem na trawie. Nie wszystkie jednak usnęły, jeden czuwał widocznie na straży, odszedł trochę dalej

i przechadzał się dokoła uspionych towarzyszy, pokręcając trąbą.

— Ale jakże tu się przekonać, że już dobrze usnęły? — zapytał sir James Primrose.

— Zaczekajmy jeszcze trochę, dla większej pewnością — rzekł radza — a potem weźmiemy się do nich.

— I cóż my z nimi poczniemy? — spytał Robert.

— Będziemy je wiązać — rzekł radza — u nas w Indyi różne są sposoby chwytania dzikich słoni. Ja dziś wybrałem najłatwiejszy. Gdy słonie dobrze usną, uwiążemy je sznurami za nogi do pni drzew. Przebudziwszy się, zechcą uciekać, ale sznury są mocne i uwięzione zwierzęta nie będą mogły się z miejsca poruszyć. Gdy się znużą próżnym usiłowaniem, damy już sobie z nimi rady. A teraz, moi panowie, bierzmy się do dzieła, słonie muszą spać i nie śni się im nawet, jaka je czeka niespodzianka.

Mówiąc to, radza powstał, trzymał w jednej ręce dziurę, w drugiej mocny i gruby sznur. Sir James Primrose wstał także, obaj skierowali się do dolinki, gdzie spały słonie, Wai-ta-hu i kilku strzelców z orszaku radży poszło za nimi.

— A my, Robercie, czy nie pójdziemy? — zapytał Henryk przyjaciela.

— Nie mam żadnej ochoty napadać na śpiące zwierzęta — odparł młodzieniec — polowanie jest bardzo przyjemną rozrywką, ale wówczas tylko, gdy powodzenie zależy od zręczności myśliwego, a dla mnie ma urok największy, gdy jest połączone z niebezpieczeństwem.

— Czy sądzisz pan, że uwiązanie słonia do drzewa nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa? — zapytał jeden z Indyan, który pozostał w obozie, podejdźcie trochę bliżej, a zobaczycie.

Robert i Henryk usłuchali tej rady, zbliżyli się do miejsca, gdzie miało się odbywać to polowanie osobliwszego rodzaju i stanąwszy pod drzewem bacznie się przyglądać zaczęli.

Trzeba wiedzieć, że słoń trzyma się doskonale na nogach; rzadko kiedy się zachwieje, a rzadziej jeszcze pada. Wielkie to szczęście dla niego, bo upadek jest bardzo niebezpieczny dla takiego ciężkiego zwierza. Trudno mu także i położyć się na ziemi, a niemniej trudno powstać. Jednakże w razie napaści, słoń, nawet leżący, broni się zawzięcie i może się stać strasznym przeciwnikiem. Biada temu, kogo potężna trąba jego dosięgnie; broń to jest obosieczna, zwierz wywija ją gwałtownie na wszystkie strony, wali z góry, siecze z boków, a gdy zdoła owinać nią myśliwca, jak wąż swym cielskiem owija ofiarę, wówczas podrzuca nim, jak piłką, i z łatwością może mu wszyst-

kie kości pogruchotać. Cała sztuka na tém zależy, aby uniknąć téj straszliwej trąby i trzymać się od niej zdaleka.

Radza z pomocą swoich strzelców bardzo zgreźnie się brał do słoń i w krótkim przeciągu czasu uwiązał ze trzy, jednego po drugim, do pni ogromnych drzew. Wszystko to odbywało się cichuteńko, stapano na palcach i nikt się nie odzywał. Słoń, pozostawiony na straży, był dość oddalony, nieborak nie przewidywał tak blisko niebezpieczeństwa; usłyszał jednak, czy zwęszył, że coś niezwykłego się dzieje, i przybiegł wkrótce na ratunek towarzyszy; ryknął przeraźliwie, a głos jego podobny był do rozbitéj trąby. Wszystkie słonie przebudziły się nagle i zaczęły gwałtownie wywijać trąbami; był to widok groźny i teraz dopiero zaczynało się niebezpieczeństwo. Słoniątko, lżejsze od starych, najprędzej zerwało się na nogi.

— Zajmij się pan tym malcem — rzekł radza do Anglika, który stał tuż przy nim — zaczep mu pan sznur na szyję i uprowadź ztąd co żywo; matka nie wstanie tak prędko, żeby go mogła bronić.

— Dobrze, dobrze, — odrzekł sir James Primrose — ja sobie dam z nim rady, ale pamiętaj, książę, o sobie, nie narażaj się niepotrzebnie.

Lecz radza nie zważał wcale na tę przestrogę i jakby igraszkę sobie czyniąc z niebezpieczeństwa, oparł rękę na cielsku jednego ze słoń uwiązanych do drzewa.

— Nie mam się czego obawiać — rzekł — byle mię trąbą nie dosięgnął, cóż mi się stać może?

— Zapewne, ale ta trąba wyciąga się, jak guma elastyczna, ej, ostrożnie!

Zaledwo Anglik wymówił te słowa, gdy słoń w rzeczy saméj z takim strasznym rozmachem wywinał długą swoją trąbą, że pochwycił radzę za ramię.

— Do mnie, przyjaciele, ratujcie! — krzyknął nieroztropny książę.

Zbiegli się wszyscy, ale nie łatwo tu było porwać; rozjuszony zwierz ścisnął ramię radzy, jakby żelaznymi kleszczami. Robert wymierzył w łeb słoń, strzelił, lecz kula odbiła się od téj twardej czaszki. Wai-ta-hu przyskoczył i ostry dziur wpełnił w oko zwierza, który nakoniec, pokonany bólem, wypuścił ofiarę swoją z tego straszliwego uścisku. Ale radza omdlał, a ramię jego opadło bezwładnie. Odniesiono go do obozu i ułożono pod namiotem. Przyszedł wkrótce do siebie, na szczęście ramię nie było złamane, tylko silnie zgniecione. Wai-ta-hu wydobyl zaraz z podróźnej apteczki jakiś balsam bardzo skuteczny i natarł nim bolące

W czasie omdlenia radzy, które trwało dość długo, tak że w pierwszej chwili obawiano się o jego życie, stała się rzecz dziwna. Cały orszak skupił się naokoło omdlonego, a człowiek jakiś przybliżył się szybko, i zdjął z szyi jego kosztowny łańcuch złoty, na którym był zawieszony mały kluczyk z tegoż samego metalu. Łańcuch ten stanowił oznakę książęcéj godności, a kluczyk otwierał skarbiec monarszy.

— Jako zaufany sługa radzy, muszę ten kluczyk zabezpieczyć — rzekł ten człowiek, a był to nie kto inny, tylko ów szafarz, który zwrócił na siebie uwagę naszych młodzieńców. Wszyscy byli w téj chwili tak przerażeni omdleniem księcia, że nikomu nie przyszło na myśl sprzeciwić się lub zapytać, z kąd miał do tego prawo. A jednak Robert i Henryk dziwne w téj chwili uczynili odkrycie i oczy ich się spotkały.

— Czy ty widziałeś, Henryku? — szepnął Robert.

— Widziałem; tak, nie mylisz się, ten człowiek miał na palcu twój pierścień, pierścień Kadura.

Gdy radza, po odzyskaniu przytomności i opatrzeniu bolącego ramienia, podniósł się nieco i w posłaniu, spostrzegł natychmiast brak łańcucha z kluczykiem.

— Co to znaczy! — zawołał zaniepokojony — jakim sposobem mogłem, zgubić rzecz tak szacowną.

— Nie, nie, mój dobry panie — rzekł szafarz udając wielką radość — to ja, obawiałem się właśnie, aby ten łańcuch nie zginął i schowałem go starannie; oto jest.

Radza spojrział na niego chmurnym wzrokiem, wziął łańcuch, nie mówiąc ani słowa, widocznie zbytnia ta gorliwość nie podobała mu się wcale.

Przez ten czas trzy słonie, których strzelcy nie zdążyli uwiązać do drzew, wstały nakoniec na nogi, a z postawy ich widać było, że nie myślą uciekać, ale przeciwnie mają ochotę wystąpić śmiało do walki z napastnikami, którzy im zaorali malca. Ziemia tętniała pod stopami tych olbrzymów, trąbami wyrywały pomniejszych drzewa, podnosiły kamienie i ciskały je z wściekłością w stronę obozu.

— Teraz — rzekł Robert — i ja gotów jestem należeć do polowania.

Nie było już co myśleć o schwyтaniu słoń, których się nie udało uwiązać pod zasnu, trzeba się było ratować od ich napaści. Straszna to była walka, żadne pióro nie zdoła opisać zamieszania, łoskotu, jaki powstał w dolinie. Słonie zbliżyły się do samego obozu, wywijając trąbami, tratując wszystko po drodze, rzucając gradem kamieni i wyrwanymi kłozami; śliwi strzelali

raz po raz, ale kule odbijały się po większej części od grubej skóry olbrzymów, w końcu jednak pokonano prawie wszystkie; jeden padł nieżywy, obalając wielkie drzewo swym ciężarem, drugi mocno okaleczony powłókł się w głąb lasu, dwa jednak trzymały się jeszcze na nogach i nie ustępowały z placu. Jeden szczególnie, stary samiec, który stał na straży, w czasie snu towarzyszy, walczył z taką zaciętością, że gromadka myśliwych, pomimo całej swój odwagi, musiała się cofać przed nim.

(D. c. n.).

### S Z A R A D A (Rózia D).

Trzecia i pierwsza: jest pisarskim znakiem,  
Drugi zaimkiem żeńskiego rodzaju —  
Wszystko jest mistrzem i naszym rodakiem,  
Zadziwił obcych, stał się chlubą kraju.

A gdy kraj cały przed jego obrazem  
Nachyla czoła; i smuci się razem,  
Że zbyt kosztowny, a my nie bogaci —  
Mistrz taką trudność rozwiązał odrazu:  
„Idź, praco moja, wyrzekł do obrazu,  
Świeć na Wawelu dla moich współbraci.

### Łamigłówa głośkowa (Adaś Z.).

c l z z  
ż s p y  
y d i i  
n n r e

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Rebusu graficznego:

Pałwa patrzy na Rawennę.

### Zagadki głośkowej:

Srebrna jest piękna mowa, milczenie jest  
szczerozłote.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Ninie Sz. w Trybuchach. Całe półroczcie Pisemka wysłane.  
Opowiadania o roztropnych pieskach będą zawsze podawa-

ne w Wieczorach, skoro się tak kochanym czytelnikom podobają. W tym roku rozpoczynamy znowu w Dodatku *Przygody małych podróżników*, które zapewne niemniej będą zajmujące od *Przygód Jasia*. Dodatek ten będzie dołączany co tydzień. Bardzo to ładnie, że wiadomość o komecie tak zajęła kochaną naszą korespondentkę.

Bohdusiowi Sz. w Trybuchach. Chociaż odbieranie miłych liścików wielką jest dla nas przyjemnością, rozumiemy doskonale, że kto się do szkół przygotowuje, nie może mieć czasu na pisanie. Dziękujemy za wiadomość o przedstawieniu obrazka dramatycznego; żałujemy bardzo, żeśmy nie mogli być na niem obecni.

Prenumeratorce w Rohach pod Humaniami. Cieszymy się, że podróż tak się podobała. Wieczory wysyłać będziemy bez przerwy. Musimy też podziękować za liścik, pisany tak starannie i tak ładną kaligrafią.

Misi P. w Iłkukszczie. Szarada wybornie odgadnięta, a liścik ślicznie napisany. Kochana korespondentka nasza widocznie pilnie uczy się musi, tém bardziej to nas cieszy, że przy tylu zajęciach znajduje czas na czytanie Pisemka i odgadywanie łamigłówek. Za serdeczne życzenia dziękujemy w imieniu wszystkich naszych współpracowników i wzajemnie przesyłamy.

Maryni B. w Lublinie. Zawsze z upodobaniem odczytujemy liściki piękną kaligrafią pisane, a cóż dopiero, gdy w nich spotykamy tyle miłych dla nas wiadomości. Jeżeli dawniejszy rocznik naszego Pisemka, otrzymany na wiązanie, zachęcił do dalszej prenumeraty, będziemy się starali dostarczać kochanym czytelnikom i nadal jaknajwięcej rzeczy zajmujących i pożytecznych. W tym roku mamy zamiar podawać częściej zagadki historyczne, więc będzie jeszcze niejedna sposobność otrzymania nagrody. Za życzenia serdecznie dziękujemy i wzajemnie zasyłamy.

Stasiowi K w Siedlcach. Dla otrzymania nagrody nie dość jest odgadnąć zagadkę; trzeba napisać rozwiązanie obszernie i porządnie, tak, aby mogło być wydrukowane.

Panu J. St. Wierszyk noworoczny spóźnił się, nie mogliśmy go więc wydrukować. Każdy Nr. Pisma musi być wcześniej przygotowany do druku.

Kazi i Mani T. w Raju. Jakkolwiek nie odstępujemy Dodatku powieściowego osobno, ponieważ tu idzie o parę arkusików, a z miłego liściku kochanych naszych korespondentek widzimy, że z wielkim zajęciem Pisemko nasze czytają, więc czynimy dla nich wyjątek i posyłamy te arkusze bezpłatnie pod opaską.

Władysiowi R. w Troickosawku pod Kiachtą. Autorka powieści *O własnej sile* ucieszyła się bardzo z tego, że ta właśnie powieść podobiała się Władysiowi więcej od innych jej powieści, gdyż to dowodzi, że Władys jest czynny i pełen zaciętej odwagi chłopiec, a takich ludzi najbardziej na świecie potrzeba. W dowód uciechy jakiej autorka doznała z liściku Władysia, napisze ona nową powieść p. t. *Podpora matczyna*, ofiaruje ją Władysiowi R. w Troickosawku, dla którego ta powieść napisaną będzie umyślnie.

M. a. Zielńska.

P. Kar. w Czabanówce. Prenumerata Wieczorów kosztuje rs. 5 — zatem nie kop. 90 lecz cały rubel włożony do puszeki na szpitalik dziecinny.

P. M. Pod. w Chwoszczówce. Przesłany rs. 1 włożony do puszeki ubogich najcięższą nędzą dotkniętych, pod opieką bractwa Ś-go Wincentego.



# WIECZORY RODZINNE

## DLA MAŁYCH DZIECI.



### Czemu Luci wolno płakać, a Tomusiowi nie wolno?

— Czemu ta Lucia ciągle śpi i śpi — pytał Tomuś, patrząc na malutką siostrzyczkę leżącą w kołyse.

— Bo Lucia jeszcze malutka, nie umie chodzić, nie umie mówić, więc śpi sobie spokojnie.

— A jak nie śpi, to krzyczy: u! u! Czego ona tak krzyczy? — pytał dalej Tomuś. O, już zaczyna! — i to mówiąc, przypatrywał się siostrzyczce, która właśnie skrzywiwszy się przez sen, najpierw po cichu, a potem coraz głośniej płakać zaczęła.

Mama wyjęła małą z kołyski, zaczęła ją tulić i kołysać, i wkrótce Lucia płakać przestała, a Mama powróciła do swojej roboty. Zaledwie jednak wzięła igłę do ręki, Tomuś stanął tuż przy niej, a opierając się o jej kolana, krzywił się i tarł oczy nielitościwie, chociaż łez w nich wcale nie było.

— Co ci jest? — pytała Matka troskliwie.

Tomuś nic nie odpowiedział, tylko krzywił się coraz więcej.

— Czy cię co boli? — pytała dalej Matka.

— Nie.

— Czy ci się jeść chce?

— Nie.

— Czy ci się spać chce?

— Nie.

— Czy ci zimno?

— Nie.

— To może ci za gorąco? — dopytywała się dalej Mama.

— Nie.

— A cóż ci się stało?

— N—i—c.

— Więc czegoś płaczesz?

Tomuś znowu nic nie odpowiedział, tylko coraz więcej tarł oczy, wołając: — uu, uuu, uu, uu...u.

— Czegoś się więc mażesz i płaczesz? — mówiła Matka surowo, odejmując Tomusiowi ręce od oczu.

— Aa Lucia... — mówił płacząc.

— Jakto Lucia? — pytała Matka.

— Jak Lucia płacze, to Mama jej nic nie mówi, tylko ją kołysze, a jak ja płaczę, to się Mama gniewa i pyta, co mi jest.

— Mój synku — rzekła Matka z uśmiechem — czy Lucia mówić umie?

— Nie.

— Powiedz mi więc, mój Tomusiu, czy Lucia może powiedzieć, czego chce?

— Nie.

— Jakże więc chcesz, mój synku, żebym się na Lucię gniewała i pytała, czego chce, kiedy ona jeszcze taka malutka i mówić nie umie. Więc ani Mamy nie zrozumie, ani też nie powie, czego jej potrzeba. Jak Lucia płacze, to jej się nawet Mama nie pyta, tylko albo jej daje jeść, albo ją kołysze, chcąc uspokoić swoją małą córeczkę.

— Czy ona zawsze tak krzyczeć będzie?

— Nie, mój synku, i Lucia, jak będzie starsza, nauczy się mówić, to nie będzie płakać.

kała, tylko przyjdzie i powie lub poprosi Mamę, gdy czego zechce.

— A jak ja byłem mały i płakałem, czy mnie też Mama tak kołysała?

— Tak samo, mój synku, tak samo. Mama cię tuliła i kołysała. Ale teraz mówić już umiesz, masz już lat cztery, jesteś już duży chłopczyk, nie powinieneś się więc mazać i płakać, lecz przyjść pocałować Mamę lub Ojca w rączkę i śmiało powiedzieć, czego chcesz.

— To niech mnie Mama pocałuje — rzekł Tomuś — a już nigdy płakać nie będę.

Mama z ochotą pocałowała synka, pogładziła go po główce, a Tomuś, objąwszy obie rączkami Mamę za szyję, uściskał ją serdecznie, pobiegł do drugiego pokoju do Ojca i powiedział, że on już nigdy płakać nie będzie. Ojciec go także uściskał i ucałował, a Tomuś odtąd nigdy się nie mazał, bo wiedział, że co wolno malutkiej Luci, która mówić jeszcze nie umie, to nie wolno Tomusiowi, który mówić umie i ma już lat cztery.

*Z. Morawska.*

## Bez czego obejść się łatwo?

Saneczkami, powozami.

To po śniegu, to po bruku,

Spieszą ludzie z choinkami,

Stuku puku! Stuku puku!

U choinek błyszczą świeczki,

Lśniąc podarki u choinek,

Skaczą, śmiejąc się dziateczki,

Jest dla wszystkich upominek.

Mała Lorcia biega, skacze,

Wtém w podwórko rzuci okiem,

A tam dziecko jest żebracze —

Do Mamusi jednym skokiem

Lorcia skoczy i powiada:

— Moja Mamo ukochana,

Niech dziewczynka tamta błada

Będzie też udarowana!

Ja mam dużo z twojej łaski,

Pozwól niech jój co udzieli;

Dwa cukierki, dwa obrazki,

I kapelusz na Niedzielę.

Na to Mama: — Chęci chwale,

Lecz na wybór, czynion skoro,

Zgodzić się nie mogę wcale,

Nie właściwy dar twój, Loro!

Zamiast strojnych kapeluszy,

Daj odzienie dziecku ciepłe,

Zaś, ażeby mu i w duszy

Roztajało czucie skrzepłe,

Do nauki daj książeczkę,

I pocziwe dodaj słowo;

Ale najprzód tę dziewczeczkę

Pokrzep ciepłą strawą zdrową.

Gdyż bez strojów, bez łakoci,

Łatwo obejść się dziecinie,

Lecz bez ciepłych słów dobroci,

Jak bez jadła dziecko zginie!

*M—a.*

## CZUŁY KOTEK.

Był raz kotek, a nazywał się Maciuś. Maciuś bardzo polubił małego Stasia. Jadł on tylko to, co mu Staś własną podawał ręką, a od kogo innego nic przyjmować nie chciał. Staś też bardzo lubił swego kotka, głaskał go, pieścił się z nim, ale nigdy mu nic złego nie zrobił. Nigdy nawet zbyt mocno go nie ścisnął, bo wiedział, że koty tego nie lubią. Pewnego razu Staś zachorował, a kotek na chwilę nie opuszczał jego łóżeczka i albo siedział na jego kołderce, albo też swój łebek przytulał do jego główki, jakby chciał powiedzieć, że żałuje chorego chłopczyka.

Po kilku dniach lekarz kazał przewieźć Stasia do innego domu, gdzie lepsze było powietrze i więcej było słońca. Mama zawiozła Stasia do domu Cioci, a i kotek chciał ze Stasiem jechać, ale na to Mama nie pozwoliła i kazała go zamknąć w komórce. W parę godzin potem wypuszczono kotka z komórki, dano mu jeść, ale kotek niczego nawet dotknąć się nie chciał i chodził smutny z kąta w kąt, jak gdyby szukał Stasia. Przez całe dwa dni nic nie jadł biedny Maciuś, wreszcie uciekł z domu. Czwartego dnia, kiedy Staś leżał w łóżeczku u Cioci, usłyszał przededrzwiami: miau, miau! Poprosił Ciocię, aby zobaczyła, jaki to kotek tak miauczy, ale zaledwie Ciocia otworzyła drzwi, wpada wychudzony Maciuś do pokoju skacze na łóżeczko Stasia i zaczyna go lizać po rączkach. Odtąd Maciuś przez cały czas choroby nie opuszczał swego pana i tylko z jego rączki przyjmował pożywienie. Maciuś przez trzy dni szukał Stasia i dopiero czwartego dnia znalazł mieszkanie.

*Henryk Wernic.*

## Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

Adaś i Zosia mieszkali na wsi ze swoją Mamą. Ojciec tych dzieci odjechać musiał gdzieś bardzo daleko, zagranicę, gdy Adaś miał dopiero półtora roku, a Zosia parę miesięcy, żadne z nich nie pamiętało go nawet. Od tego czasu minęło lat pięć, Adaś miał już teraz siódmy rok, a Zosia piąty kończyła.

Mama opowiadała im często o Ojcu, mówiła, że on do nich powrócić nie może, chociaż bardzo pragnął zobaczyć swoje ukochane dzieci, ale że kiedyś, jak uzbiera tam zagranicą dużo pieniędzy, to ich wszystkich do siebie zabierze. Listy od Ojca przychodziły często i Mama wtedy rozweselała się trochę, pokazywała dzieciom, co tam było o nich napisanego w liście, czasem nawet Ojciec dopisywał kilka słów przy końcu dużemi literami, ażeby Adaś, który już czytać umiał, mógł je sam odczytać.

Dzieci bardzo kochały Ojca, chociaż go nie znały, i nieraz dopytywały się Mamy, kiedy pojedą do niego? Ale Mama zwykle wzdychała ciężko i odpowiadała, że nie tak prędko, bo podróż bardzo dużo kosztuje, a Ojciec nie uzbierał jeszcze tyle pieniędzy i nie ma tam zagranicą tak wygodnego mieszkania, ażeby się mogli wszyscy pomieścić,

Gdy Adaś podrośł, Mama zaczęła go uczyć trochę geografii, a Zosia, bardzo roztropna dziewczynka, przysłuchiwała się zawsze z zajęciem lekcyi Adasia i lubiła oglądać różne kraje na mapie. Mama powiedziała, że Ojciec mieszka w Anglii i pokazała im ten kraj na mapie. Jest to duża wyspa, otoczona dokoła wodą i nie można tam dostać się inaczej, tylko okrętem.

— Moja Mamo — mówiła raz Zosia — poco Ojciec pojedął do téj Anglii? kiedy już koniecznie musiał wyjeżdżać zagranicę, czy nie mógł zamieszkać gdzie bliżej? ot tu naprzykład w Niemczech, albo w Turcyi — i pokazywała paluszkami te kraje.

— Wołał jechać do Anglii — odpowiedziała Mama — bo Ojciec ma tam Wujaszka, a waszego Dziadunia, brata rodzonego Babci, której portret wisi tu nad kominkiem. Babcia była Angielką i ten Dziadunio jest także Anglikiem. Jak się dowiedział, że Ojciec z kraju wyjechał, napisał do niego, aże-

by przyjeżdżał jaknajprędzej do Anglii, a tam mu pewnie będzie dobrze.

— A to jak my do Ojca pojedziemy, będziemy musieli płynąć okrętem — to doskonałe, jabyim bardzo chciał zobaczyć okręt.

— Zobaczyć i jabyim chciała — mówiła Zosia — ale płynąć okrętem to tak straszno być musi i może się okręt rozbić, jak w téj powiastce, co to nam Mama czytała.

— Aha! jak w Robinsonie — rzekł Adaś — no to cóż, tobyśmy się uratowali i mieszkali na bezludnej wyspie.

— Co to znaczy bezludna wyspa? — pytała Zosia.

— Taka wyspa, gdzie ludzi niema — odrzekł Adaś.

— Ależ ja nie chcę takiej wyspy — mówiła dziewczynka przestraszona — ja chcę jechać do Ojca, do téj Anglii, a tam przecież muszą być ludzie, kiedy i ten Dziadunio Anglik tam mieszka?

— Zdaje się, moje drogie dzieci, że pojedziemy jeszcze dalej niż do Anglii — rzekła Mama, uśmiechając się smutnie — nie chciałabym ja odjeżdżać od rodzinnej mojej ziemi, ale pojedę tam na koniec świata, byle być razem z waszym Ojcem, a i wy pewnie chcielibyście go zobaczyć, nieprawdaż?

— O, bardzo, bardzo — odpowiedziały dzieci a Adaś dodał: — Ale gdzież to my pojedziemy, moja Mamo? tu na mapie niema już dalej za Anglią żadnego kraju.

— Bo to jest mapa Europy — rzekła Mama — a wiesz przecież, że są inne jeszcze części świata.

— Wiem, wiem — mówił Adaś — Azya, Afryka, Ameryka i Australia. Ale pocóż my do tych innych części świata pojedziemy, jeżeli Ojciec w Anglii mieszka?

— Teraz jest jeszcze w Anglii, odpowiedziała Mama, ale w ostatnim liście pisał, że wyjedzie wkrótce aż do Indyj; tak się nazywa kraj bardzo gorący w Azyi. Ojciec będzie tam mógł prędko zebrać dużo pieniędzy i nas zabierze do siebie.

— A czyż do tych gorących krajów także okrętem jechać trzeba? — pytała Zosia.

— A czy my tam zobaczymy różne dziwne zwierzęta i dziwne drzewa? — dodał Adaś.

— Może tam są małpeczki? — wołała znów Zosia,

— W Indyjach jest mnóstwo zwierząt i roślin takich, jakich wy nie widzieliście nigdy, chyba na obrazkach. Są tam małpy,

słonie, straszliwe tygrysy, rosna piękne palmy i wiele innych pięknych drzew; zimy niema wcale w tym kraju, ale nieustanne panują upały.

— Słonie, małpy, tygrysy! — wołały dzieci, składając ręce z wielkiego podziwienia — i my tam pojedziemy, i my to wszystko obaczymy?

— Byle tylko Bóg dobry zdrowia wam użyczył — rzekła Matka z westchnieniem — a Ojcu pobłogosławił, ażeby mógł przysłać nam pieniądze na drogę.

Upłynęło kilka miesięcy od tój pory, dzieci rozmawiały nieraz o krajach gorących i o swojej podróży do Ojca, powoli wyszło im to z pamięci, matka zaś nie wspominała więcej o tém, i coraz była smutniejsza, coraz częściej zamyślała się i wzdychała.

Dnia pewnego Mama wyjechała za jakimś interesem do sąsiedniego miasteczka i miała dopiero na obiad powrócić. Tymczasem przyszedł bryftreger i przyniósł duży list opieczętowany, z dwiema czy trzema markami. Stara Marcinowa służąca położyła list ten na stole, a dzieci zaczęły mu się ciekawie przypatrywać. Poznały odrazu, że to list od Ojca, bo na markach była pani w koronie na głowie. Mama im mówiła, że to jest wizerunek królowej angielskiej. Adaś zaczął oglądać uważnie drukowane napisy na markach i odczytał: *Indra*.

— Zosiu! Zosiu! zawołał chłopczyk — Takto musiał już zajechać do gorących krajów, bo na markach napisano *Indya!* Ale widać, że i królowa angielska także tam pojechała kiedy jej portret zrobili na markach.

Gdy to mówił, weszła Mama, usłyszała te słowa Adasia, pochwyciła list w ręce, otworzyła go szybko, a czytając, zalała się łzami. Ale nie musiała płakać ze smutku, tylko z radości, bo padła na kolana i dzieciom kazała uklęknąć przy sobie, mówiąc:

— Dziękujmy Bogu, drogie dzieci, niezadługo obaczymy Ojca, pojedziemy do niego, do Indyj.

Gdy się Mama uspokoiła, rozłożyła mapę i pokazała dzieciom, gdzie są Indye, jaką drogą popłyną, potem wytłómaczyła im, dla czego na marce pocztowej indyjskiej był wizerunek królowej angielskiej. Ogromna część Indyj należy do Anglików i taż sama królowa tam panuje. Ojciec zamieszkał właśnie w angielskim mieście, był urzędnikiem angielskim, miał tam bardzo piękny dom

z ogrodem wspaniałym, pobierał znaczną pensją i mógł już teraz sprowadzić do siebie żonę i dzieci, bo wiedział, że im na niczem zbywać nie będzie.

Było to w jesieni, w Listopadzie, Mama śpieszyła, jak mogła, z przygotowaniami podróży, ażeby przed wielkimi mrozami wyjechać. Wskazując na mapę, mówiła do dzieci:

— Patrzcie jak tylko się tu dostaniemy, do południowej Europy, już nie będziemy się obawiali zimy, bo tam jest znacznie cieplej, niż u nas, a potem coraz cieplejsze kraje mieć będziemy po drodze. Do Taty przyjedziemy zapewne około Bożego Narodzenia, ale tam nie będzie ani śniegu, ani mrozu, daj Boże, ażeby nam upał zanadto nie dokuczał

(D. c. n.)

## GRA W PRZEKRĘCANEGO.

Rozpoczynający grę mówi do sąsiada: — Dwa krzaki latały po ptakach! — i z kolei wszyscy jeden drugiemu powtarzają jak najszybciej te wyrazy, poczem pierwszy mówi znów sąsiadowi: — Dwa kubraki wisiły w ptakach na strachy na krzaki! — i znowu z kolei wszyscy jeden drugiemu powtarzają te wyrazy. Pierwszy mówi sąsiadowi: — Dwa krzaki przelękły się dwóch kubraków, schowały się we dwa ptaki i niema nic prócz fantów!

I znowu jeden drugiemu z kolei powtarza te wyrazy, kto jeden wyraz przekreśli, daje fant. Mówić trzeba bez namysłu. Jest tylko jeden sposób, żeby uniknąć omyłki, a to taki, aby mówiąc, wymawiać zawsze *ptaki* zamiast *krzaki* i odwrotnie, a o *kubraki* się nie troszczyć wcale.

## ZAGADKA.

Co to za miasteczko, co się zwie tak  
[samo  
Jak ten, przeciw komu Polska była  
[tamą,  
A król Jan Sobieski bronił sławnie  
[Wiednia?  
Nikt mi nie zaprzeczy, że zagadka  
[przednia,  
Bo już po tym Wiedniu zgadłby nawet  
[Burek,  
Gdyby mówić umiał, że to miasto...